№ 8. Warszawa, dnia 19 (7) Lutego 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Panna Wanda była przerażona powiększeniem obowiązków. Przybył jej ogród—chów cieląt i drobiu; nawet nie starała się już temu podołać.

Wiosna rozmarzała ją zupełnie. Upajał zapach czeremchy i bzów, budziły się tęsknoty i rozczulenia. Do pracy prozaicznej, monotonnej nabierała z dniem każdym więcej wstrętu, los wydawał się jej nędzą, krzywdą i pokutą. Była tylko bardzo zajęta wystrzeganiem się przed opalenizną twarzy, i sporządzaniem sobie letnich, jasnych sukienek.

Wszystkie zarobione pieniądze szły na to, ku wielkiej zgrozie starej Hanki.

— Ma panienka trzy pary pończoch i cztery koszule, a sprawia sobie ósmą suknię — mruczała. — Ja ta nie chwalę takiego porządku.

— Albo Hance suknie potrzebne — śmiała się panna Wanda. — Chłopcy już na Hankę nie patrzą.

— Do licha takie chłopcy, co się na sukienki biorą. I złotówki na taki skutek szkoda!

Ale panna Wanda gniewała się za to, i robiła swoje.

W Maju przyjechał Włodzio, w parę tygodni po nim Kazio, i zaraz nazajutrz rzekł do brata:

— Czyś ty oszalał, latać za tą panną. Niechno mamap doatrzy. Będzie ci ciepło!

— A cóż mam robić. Dziewczyna łatwa i smaczna, zabawię się trochę. Chcesz rozdzielmy ją sobie na dnie — ty trzy, a ja cztery! Po sprawiedliwości.

— Dziękuję. Trzymaj ją sam dla siebie!

— Cóż ty. Może jeszcze się kochasz w Ozierskiej!

— Ja chcę polować i matce pomódz—bab nie cierpię.

— A ja za niemi przepadam.

Kazio podśmiechując szyderczo, robił naboje do strzelby.

— Toś ty z nią gruchał wczoraj za stawem. Popsuliście mi ciąg kaczek. Komary mnie ścięły, a przeczekać was nie mogłem. Klaskały buziaki, że ha!

— Nie wymyślaj. Wcalem jej wczoraj nie widział, i jeszcze do buziaków nie doszło. Ja jestem smakosz!

— No, to ona była z kimś innym! — rzekł spokojnie Kazio, zarzucając strzelbę na plecy i gwiżdżąc na swą wyżlicę.

— Czy ci nie wstyd szkalować biedną dziewczynę — oburzył się Włodzio.

— A to dobre. Sam mówisz, że łatwa przecie. Łatwa dla ciebie, to i dla innych. To ty ją szkalujesz. Ja tam o nią tyle dbam, co o pusty ładunek.

— Z któregoś spudłował. Aha, kwaśne winogrona!

— Tfu! — splunął Kazio i poszedł.

Co prawda, dla niego kobieta nie istniała. Mógł się Włodzio nie bać rywalizacyi. Gdy nie polował, to czytał, lub szedł w pole i z amatorstwem dozorował roboty. Często brał pług z rąk niezdary parobka, i prowadząc go, wciągał chciwie w płuca zapach świeżej roli. Wieczorem szedł na ustronne łąki i godzinami czekając na ciągnące kaczki, coś rozmyślał, uśmiechał się, lub marszczył. Miał w sobie jakąś rozrywkę i zajęcie — może się z tego przed matką zwierzał, bo często z nią przesiadywał i radził, zresztą mało było z niego pociechy w towarzyskiem życiu.

Panna Wanda trefiła grzywkę, coraz to nowe produkowała bluzki i kostyumy, i bardzo często przefruwała, nucąc, po pod oknami oficyny, gdzie mieszkali chłopcy. Teraz jeszcze bardziej wyglądała zapracowana i zajęta, wszędzie jej było pełno.

Włodzio bał się drwin brata, ale nie umiał milczeć, nie pochwalić się. Zagabywał go często.

— Nieprawda, ładne ma bestya zęby. Mówię ci, jak się śmieje, to człowieka dyabli biorą. Napewno jedziesz jutro z mamą do Porębów?

— My jedziemy, ale pisarz zostaje! — mruknął Kazio.

— Co to ma do rzeczy. Gadasz czasem ni w pięć ni w dziewięć! My się z nią wybieramy jutro czółnem do folwarku. Zatrzymaj mamę jaknajdłużej. Nigdym jeszcze tak dobrze się nie bawił w domu!

— Czy ty się chcesz z nią żenić?

— Żenić? Oszalałeś—a mnie to po co.

— Bo ja wiem. Wiecznie tylko ci baby w głowie, to sobie jedną weź i trzymaj. Będzie spokój.

— Mnie właśnie dobrze z niepokojem takim.

Nazajutrz pani Taida z Kaziem pojechali do Porębów na cały dzień. Panna Wanda upakowała im koszyk z przekąską, Włodzio jej pomagał, od wycieczki wspólnej się wymówił.

— Nie mogę, proszę mamy. Muszę raz tę rozprawę skończyć, a wakacye tak rozpróżniaczają—tłómaczył.

— To racya. Rozprawa — to twoja przyszłość. Pisz!

Była to zwykła jego wymówka.

W drodze pani Taida rzekła do Kazia.

— Jak on już zda doktorski egzamin, to trzeba będzie dać mu na installacyę kilka tysięcy, a i tobie na praktykę w Księztwie i na podróż pryśnie tysiąc. Śpieszcie się stanąć na waszem stanowisku, bo już mnie po-

ra odpocząć. Ciągnę i ciągnę ten pług, ale coraz ciężej.

— Ja chcę jeszcze trzy lata się kształcić, żeby zupełnie rzecz objąć. Im więcej się uczę, tem więcej znajduję przedmiotów do nauki.

— Byleś ochoty nie stracił, bo to nie lekki i nie słodki chleb.

— Dziękuję mamie za wybór. Dogadza mi!

Pani Taida miała ochotę go pogłaskać, ale nie chciała okazać czułostkowości, więc tylko rzekła:

— Nie naderwę ci nic z tych trzech lat, ale potem zaraz cię ożenię i osiądę na zupełnej emeryturze.

— Na to niech mama nie ra huje. Ja się nie ożenię, bo takiej jak mama drugiej niema, a reszta to nie ludzie.

— Ty smarkaczu, mnie nie praw pochlebstw a kobiet nie szkaluj. Umieją one pracować. Ot, Wanda się wyrabia, byle dobry kierunek i dobre chęci, wyjdzie na ludzi. A gdy przybyła, widziałeś — dzierlatka!

Kazio milczał. Po jakimś czasie pani Taida spytała obojętnie.

— Cóż? Korespondujesz jeszcze z Ozierską?

— Bardzo rzadko. Przeniosła się do Genewy, i przeprosiła rodziców.

— Nie może być. Nic mi matka nie pisała.

— Bo się wstydzą przekleństw, które na nią miotali. A ona się ani zhańbiła, ani upadła.

— I cóż jeszcze na uniwersytecie?

— Jeszcze ma dwa lata. Teraz ojciec pod sekretem przed matką, a matka w sekrecie przed ojcem, posyłają jej zasiłek. Zdrowa — bo ma co jeść.

— No, w każdym razie postrzelona głowa. A otrzymała zielnik?

— Otrzymała, i pisała, że sama mamie podziękuje.

— To się obejdzie. Ale to był dziwny wypadek!

I umilkli, westchnąwszy na myśl o cioci Dysi.

Wedle zamiaru, zabawili cały dzień w Porębach i o zachodzie słońca wrócili do domu.

Dom zastali pusty. Lokaj opowiedział, że panna Wanda chora na zęby, a panicz starszy zamknął się w oficynie i nie chce kolacyi.

Czekali na panią Taidę interesanci, więc poszła z Kaziem do kancelaryi, i wnet jej wyszła z pamięci choroba panny Wandy.

Kolacyę spożyli we dwoje i zabierali się do czytania dzienników, gdy lokaj oznajmił, z jakąś dziwną miną, że pisarz prosi o posłuchanie.

Wyszła tedy znowu pani Taida do kancelaryi, a Kazio obok w sypialni słuchał ciekawie, tknięty jakiemś przeczuciem.

Pisarz był to drab olbrzymi, przystojny, młody chłopak, syn zagrodowego szlachcica z Podlasia.

Zdziwiła się pani Taida wyrazem jego twarzy. Świeciły mu zuchwale oczy, latały usta, do liców biła krew gorąca.

— A co tam, Waśkowski?

— Ja, proszę pani, przyszedłem ze swoją własną sprawą, po sprawiedliwość. Wiem, że mnie pani wypędzi, bez świadectwa, bom winien, ale mi krew mózgi zalała na takie kłamstwo i oszustwo.

— Ależ ja nic nie rozumiem? Co się stało?

— Panicz nic nie mówił? — zdumiał Waśkowski.

— Mówię, że nic nie rozumiem.

— Proszę pani, *my się kochali* już pół roku z panną Wandą, i ja mam prawo do niej. Tymczasem, jak panicz przyjechał — aha, nowe sitko na kołeczku! Żeby choć przyznała się, powiedziała prawdę, jeszczebym ścierpiał. Ale kłamała, oszukiwała, wykręcała się — i trzymała obydwóch, a taka sprytna, żem nigdy na gorącym uczynku nie złapał.

Pani Taida z osłupienia, zda się, skamieniała.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Ludowość w naszej belletrystyce.

Ceux qui ne comprennent pas la démocratie n'ont rien à nous apprendre—ils n'appartiennent pas au monde des vivants *).

Leon Say.

Jednym ze współczesnych pisarzy, którzy ideę łączenia się pomiędzy sobą warstw nieoświeconych z oświeconemi najgoręcej wzięli do serca, i którzy w przystosowaniu jej do życia najmniej zdają się dopatrywać przeszkód, jest wielce utalentowany powieścio i komedyopisarz, Sewer (J. Maciejowski). Wszystko w takich opowiadaniach idzie u niego niby z płatka—*comme sur des roulettes*, jak mówią Francuzi, a że to jest pióro niesłychanie artystyczne, że akcya w powieści zwykle bardzo ożywiona, więc kojarzą się tam w tych utworach takie sprzeczne—z dwóch krańców świata sprowadzone istoty, ku zobopólnemu uszczęśliwieniu własnemu, a zarazem gwoli zbudowaniu i zachęty tych, którzyby ich śladami pójść próbowali. Trafia się wprawdzie zawsze jakiś turbator chori, bywa nawet i cały chór takich turbatorów, ale ktoby się tam liczył z krakaniem ptaków złej wróżby z ciasnotą pojęć i ze starem wstecznictwem całem. Ot, posłuchajcie tylko jednej i drugiej fabuły podobnej, a chybaby wam dusze zmroziły wszystkie minionych epok zwietrzałe oklepanki, żebyście sobie na końcu każdej z nich nie powiedzieli: „Ot takim dwojgu to dopiero dobrze na świecie!" Więc gdy jesteś kobietą, to posłuchaj czytelniczko legendy o Józefku fornalu nad fornale, a znowu skoro duszę twoją, czytelniku, opatrzność w męzką powłokę ziemską przyodziała, to wzamian za to żeś siedział cierpliwie podczas tamtej sagi przyszłości, opowiemy ci inną o pięknej Jagusi z Bronowic pod Krakowem, która zdobyła serce pewnego takiego plein-air'zysty dlatego, że była ona kobietą nad kobiety — dobrą, mądrą rodzimie, i kochającą jak żadna z tych, których seciny spotykałeś całe na twojej drodze, a przytem była jeszcze... no, była widzisz... bajecznie kolorową.

Co się tedy tyczy onego Józefka, któremu dajemy pierwszeństwo przez wzgląd na czytelniczki, notabene na takie, którym losy zawistne nie pozwoliły przez życie oglądać ani jednego prawdziwego żywego fornala, a tem mniej przedstawić go sobie w charakterze starającego się o rękę, przez wzgląd tedy na czytelniczki takie, opowiemy najprzód o Józefku, zaklinając zarazem te wszystkie, które już widywały dużo Józefków i Wojtków, aby naiwniejszym siostrzycom swoim gustu do takiej nowalii małżeńskiej nie psuły. „Bo i dlaczego?" zapyta niejeden z takich, którzy przy każdej okoliczności lubią stawiać swoje „dlaczego?" mordercze, — dlaczego nie miałby tego rodzaju związek być dobrym, pożądanym — jedynym związkiem na świecie? Przecie powieściopisarze bywają i socyologami niekiedy, a psychologami zawsze prawie, czy podobna tedy uwierzyć, aby tak grubo, tak całkowicie mylić się mogli.

Ale zacznijmyż o tym Józefku, bo doprawdy gotówby kto pomyśleć, że nam dotego nie pilno zupełnie.

Otóż w pewnym zakątku Galicyi mieszka wraz z siostrą swoją nauczycielka wiejska. Obie są młode, obie pochodzą ze stanu szlacheckiego i należą do pierwszego pokolenia rodziny materyalnie podupadłej. A że są przytem sierotami, więc pracy ich na chleb powszedni nikt się dziwić nie powinien. Niestety, jedna z nich tylko, to jest starsza Wanda, może pracować; młodsza, Zosia, ociemniała od niedawna, i na tę chwilę stanowi starszej siostry troskę wielką, a nawet z pewnych szczególnych względów boleść prawdziwą, o czem poniżej. Jak to zwykle bywa, złe nigdy nie przychodzi samo. Wanda dostaje tyfusu, a pasując się ze śmiercią ma jeszcze jedno udręczenie dodatkowe; bo do tej biednej ociemniałej zapałała nagle uczuciem potężnem pierś męzka niejakiego Józefka, właściciela kilku morgów w tej samej wiosce, takiego sobie Józefka ani lepszego, ani gorszego od drugich—chłopaka, który w dzieciństwie pasał gęsi, trochę później pasał nierogaciznę, jeszcze później konie, a teraz oto zachodzi do szkoły wpatrywać się w tę sierotę ociemniałą, co starszą jej siostrę doprowadza do rozpaczy i upokarza niesłychanie zarazem. A Zosia—ta ciemna dziewczyna, cóż ona na to? — zapytacie czytelniczki. Zosia wśród powszechnego opuszczenia, a nawet brutalnie objawiającej się niechęci gromady, która ma sobie za ujmę, że szlachcianki bałamucą parobczaka, posiadacza kilku dużej miary morgów, Zosia przyjmuje tego Józefka jak błogosławieństwo Boże, i tylko trwoga przed gniewem starszej siostry, nie pozwala jej tego sformułować wyraźnie, a kalectwo jej odwołać się do samodzielności, co przy współczesnych pojęciach do niemożebności przecieżby nie należało.

*) Od ludzi nierozumiejących ducha demokracyi nie mamy nic do nauczenia się. Nie należą oni do świata żyjących.

Wszystko wlokło by się Bóg wie jak długo, gdyby nie ten tyfus, który sprowadza do wsi doktora z bliskiego miasteczka, a że ten doktór jest nietylko wielkim lekarzem, ale i niepoślednim w myśl autora socyologiem, więc skoro tylko, odwiedzając tamtą chorą, dopatrzył się jak się mają rzeczy z tą drugą, ociemniałą i z tym Józefkiem—celadonem, uradował się niesłychanie, bo się trafiała rzadka sposobność zrobienia społecznego eksperymentu, wykazania nicości całej przesądu, i Bóg wie nie czego tam jeszcze. Leczy tedy Wandę, próbuje czyby Zosia nie mogła odzyskać wzroku, a wśród tego wszystkiego kojarzy powoli ten związek, oddziaływając na wsteczny umysł starszej siostry, upoważniając kaprys młodszej, i dobiera sobie za sprzymierzeńca własną żonę, kobietkę dobrą i kochającą, której on już swojego reformatorskiego ćwieczka zaszczepić zdążył. Ta kobieta myśli oczywiście, że jest najkonsekwentniejszą jako pomocnica w tej robocie męża, bo swoją drogą odczuwa i ocenia szczęście własne w pożyciu z człowiekiem zacnym, a pomimo tego lekkiego zboczenia, rozumnym i ukształconym, a swoją drogą doradza drugiej sobie podobnej istocie wyjście za prostaka nieokrzesanego, jakgdyby jej własny los nie powinien jej tamtego związku, jako prostej, całkowitej niemożebności przedstawić.

Czego to jednak nie wolno powieściopisarzowi? Otóż wszystko idzie doktorowi po myśli. Wanda wprawdzie nie ustępuje jeszcze, ale ją doktór zaszachował wziąwszy do siebie na kilka tygodni dla zdjęcia katarakty Zosię, do której pozwala przychodzić od czasu do czasu temu Józefkowi, co się doktorowi bardzo chwali, jako opętanemu przez ideę, ale jako ojcu rodziny niekoniecznie. A tymczasem oblicza on wszystko na ten moment psychologiczny, kiedy kaleka wzrok odzyska i kiedy jej siostra przez wdzięczność, nic jemu, doktorowi, odmówić nie będzie mogła. Co zaś do Zosi, to jest on pewien, że jak ujrzy własnemi oczyma Józefka, którego dotąd poznaje tylko po głosie, to już jej tego nikt z głowy wybić nie potrafi. Co prawda jest to tem trudniej zrozumieć w powieści nawet, że autor w szczególny wdzięk tego swego bohatera nie przyodziewa wcale, a owszem z przedziwnym realizmem dobiera barw do odmalowania jego fizycznej i duchowej grubizny, na tle której dziwnie rażąco odbija ta jego niby miłość dla ciemnej, chorej i wątłej, co jak wiadomo, każdemu z Józefków i Wojtków stanowczo bywa przeciwnem. Ale mniejsza o ten szczegół jeden; nie chcemy go wyzyskiwać nad potrzebę, bo i tak ginie on wśród reszty nieprawdopodobieństw i samego założenia głównego.

Rzecz zdąża do rozwiązania. Miasteczko, w którem mieszka doktór i w którem przebywa dla kuracyi chora, poruszone jest w najwyższym stopniu; sława doktora jako okulisty zaangażowana, starsza siostra tymczasem spędza ciężkie godziny pod wpływem łatwo zrozumiałych niepokojów, bo i losy tego dziewczęcia biednego ważą się w tej chwili, a przytem ten parobczak, który tu się przywlókł także, działa na nią jak widmo, czemu nikt z ludzi niezapędzonych w takim wyłącznym kierunku, o jakim mówimy, dziwić się nie powinien.

Operacya udaje się; uzdrowiona dziewczyna ogląda nareszcie swego miłego, siostra starsza protestuje, ale i ona w końcu ulega bo chwila jest uroczysta, nastrój ogólny podniesiony, więc i t. d. i t. d.

A potem co? — zapytacie czytelniczki. Potem naturalnie szczęśliwość młodych małżonków bajeczna. Zosia na sześciu morgach swego małżonka opływa w dostatki i delikatne starania męża, on sam kształci się przy niej; zrazu słucha jej czytania, potem sam czyta, jednem słowem miłość arkadyjska w naszym pozytywnym wieku taka, jakiejby się nie powstydził przedstawić żaden z sielankarzy stulecia minionego.

Tak nagrodzoną bywa kobieta, kiedy się zdoła podnieść ponad przesąd, pójdzie za głosem serca i rozumu, daje do zrozumienia autor. Zostawmyż ją w tym edenie, który jej stworzono na drukowanej bibule, a zobaczmy jak w analogicznych okolicznościach wygląda wyemancypowany szczęśliwie z przesądów mężczyzna, który obrzydziwszy sobie kobietę cywilizowaną, idzie szukać po chatach miłości silnej, zdrowej, jędrnej, takiej, co to daj Boże każdemu.

(*Dokończenie nastąpi*).

Kilka uwag
o pracy w naszych czasach.

(Dokończenie.)

Konkludująca wreszcie w tej sprawie jest opinja angielskiego ministra handlu. Tłómaczył on właśnie w ostatnich czasach Izbom, że wysoka płaca i krótkość dnia roboczego są wyrazem postępu i rękojmią dla wyższości W. Brytanii w jej konkurencyi z kontynentem europejskim.

A teraz przypatrzmy się niektórym cieniom na tym obrazie.

Wielkiej siły produkcyjnej Anglii i Ameryki nikt nie zaprzecza, ale zobaczmy jak się w tym systemie, obok pozornego dobrobytu przedstawi pomyślność istotna jednostki, jej siła życiowa, i jej długowieczność, bo o nią nam przecież chodzi tutaj także. Rozpatrzywszy dopiero te warunki będziemy mogli przyjść do wniosków o ile system wysoce intensywnej pracy sprzyja zaspokojeniu wygód i potrzeb w epoce dojrzałości, i o ile zabezpiecza na lata kalectwa lub niemocy.

Nie bardzo pocieszające cyfry daje pod tym względem statystyka. W miarę jak przemysł wprowadza udoskonalenia swoje, losy klas pracujących polepszają się, ale tylko pozornie. Dziennik angielski „Cotton factory Times" ciągle zwraca uwagę na wzrastający rozstrój nerwowy zwijaczy, a szczególnie zwijaczek w przędzalniach bawełny. Co tym ludziom po krótkości ich dnia roboczego—co im przyjdzie z ich podwyższonej płacy, jeśli większość narzeka na brak apetytu i skarży się na bezsenność. Wszak tyle jest tam ludzi, którzy jeszcze trzydziestu lat życia nie doszli, a już uznani są jako indywidua o nadwątlonej muskulaturze i naruszonym w wysokim stopniu systemie nerwowym. Nietylko nauka lekarska wie dobrze, ale i każda z tych jednostek ma całkowitą świadomość, że stan tego zwątlenia i rozstroju zawdzięcza ona skomplikowaniu rzemiosła i podwyższonej szybkości obrotu machin. W Stanach Zjednoczonych jeszcze gorzej pod tym względem, a nawet Anglicy lękają się popychać rzeczy w tym kierunku, i za wzór brać Ameryki nie myślą. Oto co odpowiedział w tych czasach jeden z pierwszorzędnych fabrykantów tkanin jedwabnych w Anglii, dowiedziawszy się, iż pewna firma amerykańska, która mu robiła bardzo poważną konkurencyę, zainstalowała u siebie maszyny podwyższające w danej jednostce czasu obrót z 5,000 na 7,200: „Ani mi w głowie postało żebym miał zejść na tak niebezpieczną drogę — robotnice moje nie mają sił odpowiednich, i przekonany jestem, że po takiej reformie w krótkim czasie, straciłbym je wszystkie.

Taką jest odwrotna strona medalu. Wysokość zarobku wzrasta, ale ubywa siły życiowej robotnika i to ubywa w stosunku zastraszającym. Należy przecież zrozumieć, że człowiek jest do pewnego stopnia machiną o ograniczonej liczbie obrotów. Jeśli tę ilość obrotów wykona on w czasie krótszym, nie idzie zatem, aby nie miał na to wyekspensować siły, która do sprostania danej robocie była niezbędną, a nawet wydatkował o wiele szybciej, bo szafował nią bez rachunku i uwagi na jutro.

Mniej tedy gorączki wogóle — mniej pożądań — nietyle pragnień wygód i konfortu, bo organizm ludzi w gwałtowny sposób protestować zaczyna przeciw tak wadliwym zapatrywaniom na życie, i tak źle zrozumianej ekonomii sił. Niewątpliwie hasłem naszej cywilizacyi jest: jak najmniej godzin pracy przy możliwem tej pracy natężeniu — jak najwyższy zarobek, a jako kompensata zwiększenie wygód, przyjemności i rozkoszy życia.

To są próby, których pozwalają sobie jednostki i społeczeństwa całe, ale i jednostka, i społeczność na takiej gospodarce jednako wyjść muszą koniecznie. Dla nas, którzy właściwie mówiąc, jesteśmy jeszcze poza zębatemi kołami tego przemysłu zawrotnego, wielka ztąd nauka, z której skorzystać powinniśmy, jeśli potrafimy iść za wskazaniami rozumu, a wbrew febrycznym prądom stulecia, po których niewiadomo jeszcze jakich rozmiarów zniszczenia pozostaną jako spuścizna.

K.

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

A. Lange. — Poezye część II.

Leży przed nami nowy tom utworów znanego czytelnikom „Tygodnika" poety, Antoniego Langego. Niektóre z pomieszczonych tu rzeczy jak cykl „Na Świtezi," wiersz „Nie na dzień jeden" i inne drukowało niegdyś pismo nasze. Są to już starzy znajomi wasi, czytelnicy. Nie będziemy więc mówić wam o nich. Zalety ich mieliście sposobność ocenić sami.

Tom, o którym mowa, powstawał widać zwolna; w różnych okresach życia, pod przeróżnymi wpływami tworzył poeta te swoje fragmenty, sielanki, sonety, ballady.

To też książka ta jest niby mozajka z różnorodnych kamieni złożona. Kamienie dać miały obraz, obraz duszy poety. Wyszedł on jednak trochę chaotycznie i niewyraźnie. Tu poeta wybucha skargą, w której maluje się zniechęcenie, brak wiary w skuteczność wszelkich wysiłków, niechęć do życia, pessymizm gorzki i beznadziejny, wyrzuty zwrócone ku epoce, w której żyć mu przyszło, epoce „mogilnej ciszy," w której duchy wielkie, namiętne, nie znajdując pola do walki, jałowieją i więdną. Wiersz pomieszczony na czele książki „Zamiast prologu" wypowiada te uczucia z wielką siłą i w bardzo ponętnej formie.

„I ja pragnąłem również mych tortur udziału,
I ja pragnąłem walki tytanicznej grzmotów,
I ja pragnąłem krzyżów męczeńskiego szału,
I miłości potężnych — i wysokich lotów,
Ale.
...zamiast mię naraz dać pod miecz katowski,
Życie niosło mi zwolna swe jałowe bóle
I walki swe nikczemne — i mizerne troski —
I miłości fałszywych kłamne aureole.

. . . .

Napróżno uderzały pulsa me namiętne,
By uciec choćby w ogniach od żywota kału,
Dusi mię to powietrze zatęchłe i mętne,
I dziś jam tylko żebrak czynu i zapału.

Za chwilę jednak oczy nasze padają na słowa, wyrażające wprost przeciwny stan duszy. W chwilowem poczuciu siły poeta woła:

„Witajcie mi, wy, życia wzburzone kaskady!
W waszych szumów symfoniach tyle tonów dźwięczy,
W waszych fal wodotryskach tyle barw lśni tęczy,
Że biegnę do was tęskny, rozkochany, blady."

I zapewnia, że gdyby z nad słonecznej sfery przyszedł duch jakiś, który chciałby uwolnić go od męki bytu, pokruszyć leżące na drodze jego zapory:

„Możeby nie chciał rzucić tych murów więziennych
I nie chciał rozwiązania tajń wiekoniezmiennych
I dalej nosić wolał cierniową koronę!"

Z nastrojem podobnym spotykamy się jeszcze parę razy. W pewnej chwili ideałem poety jest: „Być—i walczyć—i cierpieć — i kochać swe rany!" „tworzyć nowe posągi i nowe rapsody... nowe arki tryumfu i nowe ołtarze." Po tych wybuchach przychodzą jednak znowu chwile upadku. I wtedy ballady pijackie tchnące bólem rozczarowań, goryczą i ironicznym szałem wypływają mu z pod pióra.

Wogóle pieśni jego brak tym razem ciągłości tonu. Zaledwo pochwycony motyw porzuca, goni za innym, urywa, powraca do pierwszego.

W tem przerzucaniu się z krańca do krańca, w tej nadzwyczajnej wahadłowości uczuć, poznajemy typowe cierpienie duchów współczesnych, tych harf przeczulonych, którym wygórowana ich wrażliwość nie pozwala wydać pieśni jednolitej w charakterze, wielkiej rozciągłej, ale zmusza je do wyrzucenia krótkich, urywanych jęków, do drgań szybkich, bolesnych, nagłych...

Jednym z najpiękniejszych ustępów książki Langego, jest poemacik „Latający Holender." Natchniony przez Wagnera ma w sobie wiele siły, wiele szczerego polotu.

Postać Wagnerowskiego bohatera bardzo poetycznie i głęboko pojęta, pociąga nieprzepartym urokiem. Ten człowiek, który niezmierną, panteistyczną jakąś miłością ukochał wszystko, co żywe, a później na nieszczęście swe całe te ogromy uczucia przelał na jedną postać kobiecą, i za to przez bogów klątwą wiekową obarczony został, jest cudownie piękną. Bo posłuchajcie tylko, jakim był niegdyś ten tułacz, błąkający się przez całe stulecia, po morzach i po wszystkich ziemiach szukający kochanki wiernej, kochanki, która umiałaby się poświęcić:

„Miłością gorzało me całe jestestwo,
Kochałem! W miłości mi było królestwo —
W miłości mych uczuć ognisko;
I wszystko, co znałem — to wszystko kochałem —
Co żyje, co cierpi—to wszystko!

Kochałem natury—macierzy zielenie,
I żywe stworzenie—i słońca promienie
I bogi kochałem nieznane —
I ludzkie gromady, co w łez i krwi ślady
Malują swe drogi świetlane."

Ta ostatnia strofa jest szczególnie piękna. Dziwnie chwytająca za serce jest melodya pierwszego wiersza:

„Kochałem natury macierzy zielenie"

Szczerze radzimy miłośnikom poezyi, aby zapoznali się z tym pięknym utworem.

W cyklu „Exotica" starał się poeta o przedstawienie w rymowanej formie podań ludów dzikich o początku stworzenia, początku ziemi, rodu ludzkiego. Jeśli niewiele dodał tu poeta od siebie, powinnibyśmy wstydzić się, że o umysłowości tych mieszkańców oddalonych krain takie fałszywe wyrobiliśmy sobie wyobrażenie. Legendom ich nie brak ani filozoficznego pierwiastku, ani poezyi. Dla czytelniczek naszych najbardziej zajmującem będzie zapewne podanie pochodzące z Nowej Zelandyi, a dotyczące początku kobiety.

Oto z jakich materyałów jeden z bogów postanowił stworzyć istotę, która miała „uwiecznić ludzi."

Bóg mówił:

„Promień słońca niechaj ku nam spłynie,
By to nieśmiertelności wypełnić naczynie.
(Wnet, zanim jego słowa dobiegły do końca
Złocistą płynie smugą jasny promień słońca),
Niechaj się zjawi echo w świecie utajone,
Niechaj się zjawi echo w żywy kształt wcielone!
(Jak harfa zaśpiewała natura z pośpiechem
Byt zabrzmiał ujawnionem własnej treści echem)
Teraz łączmy dźwięk echa i promieni złoto —
A powstanie kobieta! - mówił bóg i oto
Wiąże świetlane nici ogni idealnych
Z czarującą harmonią dźwięków niewidzialnych.
Tak stworzyli bogowie kwiat formy człowieczej...

Kończy komplemencista — nie wiemy zaiste — nowozelandzki czy... warszawski.

Pełnym mistycznego, niepochwytnego czaru jest wiersz zaczynający się od słów:

„Najbardziej z moich pieśni kocham owe ciemne
Melodye, które we śnie słyszę jak tajemne
Jakieś fale, poza mgłą daleką szumiące
I mnie samemu nigdy niepojęte, drżące
Jak struna jakaś lekką dłonią potrącona..."

Zdaje nam się, że i my słyszym lekki szmer tych melodyi „urodzonych w bezdennej głębi nieświadomej" ducha poety.

Dosyć jednak tych cytat! Kto ciekawy, niechaj książkę weźmie do ręki.

H. C.

PAN STACHURSKI.

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY.

(Ciąg dalszy).

— W tej chwili będę gotowy — odpowiadam. — Szykują mi tylko zakąskę, bo mam zamiar wrócić dopiero na obiad.

I żeby skrócić przygotowania, zostawiam fuzyę na ławce i wracam do wnętrza dworu, który jest jeszcze pogrążony we śnie. Zaspana gospodyni kraje buterszyty w jadalni.

Wreszcie wszystko gotowe. Wychodzę na ganek, pan Stachurski jest jednak tak zajęty moim hamerless'em, że na razie mię nie widzi.

Oczy mu błyszczą, ogląda dubeltówkę z miną znawcy, patrzy w lufy, probuje zamku.

— Słyszałem ja już o tych fuzyach bez kurków — mówi, spostrzegłszy mię—alem nigdy nie miał sposobności widzieć. Ładne to, bo ładne!.. I dobrze bije?

— Na sto kroków strzał pewny — odpowiadam z dumą.

Stary myśliwy ruchem głowy wyraża swe podziwienie, poczem jego wzrok mimowoli, ze smutkiem, przenosi się na stojącą obok strzelbę. Ale mnie znowu, tamta zaciekawia bardzo. Nic podobnego nie widziałem! Pojedynka starego autoramentu, kapiszonówka, ale jak wygląda! Lufa wydaje się jakąś oso-

bliwie długą rurą, kolba grubą ręką z prostego drzewa wyciosana, wszystko zmocowane drutem i szpagatem...

Pan Stachurski widzi moje spojrzenia i tłómaczy się.

— U mnie dobra broń nie utrzyma się; strażniki coraz to zabiorą. Trzy lata temu miałem-ci i ja porządną dubeltówkę. Waliła jak armata! Ale wzięli... Było ich dwóch, ja jeden...

W oczach jego tkwi teraz jeszcze żal i gniew. Co to musiała być za scena, gdy mu tę ukochaną fuzyę zabierali!

Czas w drogę! Pan Stachurski przelotnem spojrzeniem lustruje jeszcze mój myśliwski kostyum; widzę, że mu się pończochy i długie sznurowane trzewiki stanowczo nie podobają. Zarzucił pojedynkę na ramię, gwizdnął, i w tej chwili z gąszczu wysunął się pokornie łaciasty kundel. Nie! tak chudego psa trudno sobie wyobrazić; wszystkie kości możnaby policzyć.

— Dobry piesek — mówi pan Stachurski — tylko pożarty strasznie. Ciągleby jadł! kiedy bierze postrzelonego kota, trzeba baczyć, że by nie napoczął. Medor, przy nodze!

Ruszamy. Czuję się rzeźkim, jak nigdy, ta świeżość ranna usposabia cudownie. W powietrzu woń opadłych liści, na pordzewiałej zieleni drzew palą się błyski purpurowego słońca. Mijamy park, i naraz szeroki krajobraz roztwiera się przed nami. Obszerne złotawe rżyska, tu i owdzie poprzecinane polami kartofli i buraków, w dali ciemno szafirowe pasmo lasów, a na prawo szmaragdowa wstęga łąk dymi się lekkim, niby pajęczynowym oparem. Czuję wokoło siebie przestrzeń — nieskończoną przestrzeń, i powietrza, kryształowego powietrza tyle!.. Pierś zupełnie inaczej oddycha. Idziemy szybkim krokiem w milczeniu, Medor myszkuje z fantazyą po polach. Rozpocząłem moje wędrówki myśliwskie z panem Stachurskim...

* * *

Zwierzyny w Rakowcu wogóle mało. Stosunkowo jeszcze sporo jest kuropatw, a to z tego względu, że pan Stachurski pogardza tym ptakiem. Koszt nabojów i zachody nie opłacają mu się, strzela do nich tylko wtedy, gdy ma specyalne zapotrzebowanie z jakiego dworu.

Za to zające tępi mój przyjaciel bez miłosierdzia, przez rok cały, bo to—powiada—kot zawsze się przyda, łatwo go zbyć, czy to we dworze, czy w miasteczku, w najgorszym razie mięso można rozdzielić i między chłopów, a wzamian są tu krupy, tam mąka, to wreszcie mendel jajek lub osełka masła — i jeszcze skórka zostanie.

Wskutek tego zajęcy w okolicy jest bardzo mało, pan Stachurski, można powiedzieć, zna każdego, który w tych stronach przemieszkuje. Za jednym kotem, który obrał sobie siedlisko w choinkach nad łąkami, chodzi już przez trzy tygodnie napróżno.

— Kot jak baran — mówi — ale bestya ostrożna! Niech tylko mię zdaleka przewącha, zaraz do rządowego lasu. Ale ja go szelmę, jeszcze przycupię...

Nie wątpię, że go przycupi, bo cierpliwość ma nadzwyczajną. Swoim długim, a wolnym krokiem potrafi deptać na małym kawałku pola bez końca, i niby z pod ziemi wynajdzie w końcu to przepiórkę, to derkacza, to jakąś odbitą od stada kuropatwę.

Jesteśmy w przyjaźni. Gdy przed wieczorem wracamy do domu, wtykam mu zawsze rubla do ręki.

— Za stratę czasu!

Zabawne jest, że dając mu pieniądze, ja czuję się bardziej zawstydzonym niż on. Ten milczący starzec imponuje mi. Spostrzegam w nim zadziwiające objawy dobrego wychowania i taktu; mówi mało, ale zawsze rozsądnie. Ot, naprzykład przy naszych śniadaniach w polu.

Koło południa, gdy słońce zaczyna przygrzewać, robimy zwykle wypoczynek. Wyjmuję z torby zapasy spożywcze, które teraz noszę z sobą w poważnej ilości i przepijm z manierki do Stachurskiego. Zabieramy się potem do jedzenia. Stachurski je z początku od niechcenia, jakgdyby mi chciał grzeczność zrobić, gdy jednak widzi, że ja już mam dosyć, a zapasy nie są spożyte, wówczas poczyna zajadać na dobre. Co ten chudy potrafi zjeść, to istotnie przechodzi pojęcie! Gdzie się to może mieścić?

* * *

Przeziębiłem się trochę, chodząc po mokrych łąkach za dubeltami i dałem znać Stachurskiemu, że nie będę dziś polował. Pani Emilia co chwila przychodzi z jakiemś nowem nieomylnem lekarstwem, Siennicki znów, żeby mi czas skrócić, kazał wnieść do pokoju zielony stolik, i zaproponował partyę pikiety. Ale po obiedzie czuję się lepiej, a skłaniające się ku zachodowi słońce rozpościera takie szkarłaty, że nie mogę się oprzeć pokusie. Korzystając ze siesty kuzyna, ukradkiem wynoszę się przez park w pole i wydostaję na szosę, która prowadzi do wsi.

— Pan Stachurski mieszka u Mateusza Kiełkonia — objaśnia mię spotkana baba

Wynajduję wreszcie ową chałupę. Okazuje się, że Stachurski odnajmuje od Kiełkonia małą izdebkę, z osobnem wejściem od strony gumna. Przy drzwiach, na wązkiej ławce, siedzi stary kłusownik z krótką fajeczką w zębach, i z wielkiem zajęciem pracuje nad naprawą sieci. Z izdebki dochodzi piskliwy, zmęczony głos kobiety, nucącej jednostajną litanię.

— A, chwalić Boga, już pan zdrów! — wita mię radośnie Stachurski.

— Przyszedłem się umówić na jutro...

— Doskonale! Pójdziemy od samego rana w koński ząb od Węcławic, podobno tam jest ogromne stado kuropatw. A może pan wejdzie trochę spocząć do mieszkania.

Izdebka jest nizka i mała, wybielona starannie; podłoga drewniana, schludnie umyta. Z pośród gratów, stanowiących zwykłe wnętrze chłopskiej siedziby, wyróżniają się jako zabytek lepszej przeszłości, stara orzechowa komoda, przykryta kolorowym obrusem, a na niej parę wyblakłych fotografij, bukiet zasuszonych kwiatów sztucznych i kilka okaleczonych figurek z porcelany. Na oknie doniczki z kwiatami.

— Moja siostra! — prezentuje Stachurski.

Zajęta gospodarską robotą, sucha, wysoka staruszka, ociera śpiesznie ręce w fartuch i składa ceremonialny dyg. Te same wązkie usta, wyrażające jakąś zaciętość i upór, ten sam dumny, silnie zgarbiony nos. A chuda! Chyba jeszcze chudsza od brata.

Podają mi krzesło. Panna Stachurska siada na drugiem, stary zajmuje miejsce w kącie, na małej ławeczce.

— Brat mój dużo opowiadał mi o panu,— zaczyna konwersacyę staruszka. — Pan zapalony myśliwy?

Rozmawiamy, jak na pierwszej wizycie w salonie, o polowaniu, o pogodzie. Panna Stachurska jest równie jak brat małomówna, ale widocznie dla mnie robi wyjątek, stara się okazać bardzo uprzejmą. Literalnie zapominam, że jestem u biedaka, któremu wtykam po rublu do ręki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KILKA UWAG

dla obierających sobie powołanie.

Czasy, w których mniemali ludzie, że zdobycie jakiejkolwiek specyalności naukowej znaczy to samo, co zapewnienie sobie bytu na życie całe, należą niestety do przeszłości dosyć odległej. Nawet tacy prawdziwi maruderzy cywilizacyi, do jakich my się liczymy, tracić zaczynają pod tym względem dawne złudzenia; cóż powiedzieć dopiero o społecznościach tak dotkliwie zawiedzionych, jak Włochy, Francya, Norwegia, bo już o Niemcach jako narodzie prawdziwie prześladowanym przez nadmiar uzdolnień fachowych, mówić dzisiaj nie zamierzamy. Zresztą w zeszłym bodaj roku dawaliśmy dosyć szczegółowe sprawozdanie z pracy dr. Ernsta, traktującego tę kwestyę w sposób wyczerpujący. Obraz stanu rzeczy we Włoszech ukaże się, jak zawiadamiają, w opracowaniu margrabiego Paulucci w bardzo niedługim czasie, więc zadowolnić nam się wypadnie tym razem sprawozdaniem p. Henryka Berenger, którego cyfry wraz z rozumowaniem nad przyczynami tego wielkiego przesilenia na ziemi francuzkiej, podajemy czytelnikowi poniżej.

Rozpoczyna autor studyum, które mamy przed sobą od zapytania, jakie właściwie żywioły składają dzisiaj tak zwany proletaryat intelligencyi we Francyi. Niegdyś byli to podług niego wszelkiego rodzaju niedouczeni, próżniacy, którzy udawali, że gardzą dyplomem uniwersyteckim, pyszałkowie różni, którym zamarzyło się torować nowe drogi dlatego, że im do pójścia staremi nie starczyło pracy i wytrwania — wszyscy razem wzięci wykolejeni, malkotenci, i odrzuceni, wraz z całą cyganeryą literacką i artystyczną. Dzisiaj stan rzeczy zmienił się zupełnie. Dzi

siaj proletaryat stanowią nie odrzuceni i nie wykolejeni bynajmniej, dzisiaj to wielkie bractwo tworzą ci, którzy ukończyli studya swoje w danym zawodzie prawidłowo, którzy mają dyplomy w porządku, opinję uzdolnionych i zasługujących na zajęcie wybitnego stanowiska w społeczeństwie, a którzy pomimo to stanowiska żadnego nie mają, dla tej jak się zdaje jednej jedynej przyczyny, że takiego stanowiska dla nich zabrakło. Krótko określona przyczyna, ale wystarczająca zupełnie.

Przechodzi p. Berenger koleją rozmaite zawody, do których przysposabiają uniwersytety, a rozpoczyna od danych dotyczących zawodu lekarskiego, wedle materyałów dostarczonych mu przez znakomitego dr. Brouardel'a dziekana fakultetu lekarskiego w Paryżu. Przyjrzyjmyż się tym cyfrom i tym wywodom.

Jest w całej Francyi na ogół wziąwszy 12,500 lekarzy, z których 2,500 w Paryżu a 10,000 na prowincyi. Lekarze paryscy pod względem dochodu, jaki im przynosi praktyka, dadzą się poklasyfikować w ten sposób:

5 do 6	zarabia	od 200,000	do	300,000	fran.
10 „ 15	„	„ 100,000	„	150,000	„
100	„	„ 40,000	„	60,000	„
300	„	„ 15,000	„	30 000	„
800	„	„ 8,000	„	15,000	„

1,200 niezarabia 8,000 franków rocznie. Jest to połowa całego kontyngensu lekarzy stolicy, którzy z uwagi na obowiązującą stopę, na którą urządzać się musi doktor w Paryżu, zaliczają się do proletaryatu naukowego o tyle, o ile są pozbawieni majątku osobistego. Co robią ci ludzie? — zapytuje Berenger. Jedni są asystentami przy wielkich znakomitościach lekarskich i chirurgicznych — inni zadawalniać się muszą dostarczaniem klienteli dla rozmaitych klinik wątpliwej sławy, tamci wchodzą w spółki z aptekarzami, inni jeszcze mają swoje specyalności ciemne i niegodne wcale zazdrości, reszta mrze literalnie z głodu, zarabiając do 100 franków miesięcznie, jakeśmy to widzieli na przykładzie w procesie Boisleux—La Jarrige i na doktorze Laporte, obwinionym w innej sprawie. A jednak pamiętajmy, że ten lekarz-nędzarz Laporte używał w gronie kolegów swoich bardzo wyróżniającej opinii i jako zdolność, i jako charakter.

Na 10,000 lekarzy prowincyonalnych można powiedzieć, że 5,000 tylko żyje z wykonywania swojej profesyi zupełnie jawnie i prawidłowo. Ta druga połowa nie tworzy przecież proletaryatu, jak to ma miejsce z ich kolegami paryzkimi. Plotkarska czujność prowincyonalnej opinii niedopuszcza jak wiadomo lekarzowi żadnej z defraudacyj profesyjnych, praktykowanych w stolicach. Jest więc takich bardzo mało. Ci, którym medycyna nie zapewnia kawałka chleba, rewanżują się po większej części na ożenieniu z kobietami posażnemi, i stosownie do wysokości tego posagu zostają rolnikami, przemysłowcami, albo kapitalistami. Jest też pewien procent takich, którzy rzucają się w wir polityki, a jako dowód służyć może lista wykazująca, że ma w swoim składzie izba francuzka 80 lekarzy.

Uniwersytety francuzkie wystawiają rocznie 1,200 lekarzy. Praktyka trwa zazwyczaj od 20 do 25 lat, a stanowisk opróżnia się rocznie tylko 600 do 700. Wypada zatem, że blizko połowa lekarzy wstępujących w zawód jest zbyteczną. Oto wyjaśnienie stanu rzeczy.

Proletaryatu adwokatów w ścisłem znaczeniu tego słowa niema w Paryżu, a niema dlatego, że do tej karyery zabierają się tylko ludzie pozycyi materyalnej zupełnie niezależnej. Z wyjątkiem uzdolnień szczególnych, nie zdobywa sobie w Paryżu adwokat wziętości wcześniej niż w jakieś 35 lat życia, więc coby robił do tego czasu, gdyby nie miał majątku osobistego? O tem wiedzą wszyscy, i nikt nie rzuca się tak lekkomyślnie na adwokaturę, jak się rzucają dotąd na medycynę. Pewien procent znaleźć się musi oczywiście adwokatów chybionych, ale ci radzą sobie sztukując lichą klientelę swoją jeszcze lichszymi dochodami z artykulików dziennikarskich, lekcyami marnie płatnemi, repetycyami i t. p. Są to właściwi proletaryusze słowa i pióra.

Większość urzędników posiada środki własne, albo żeni się bogato i nie może być inaczej, bo pensye debiutantów magistratury nie przenoszą 3,000 do 4,000 fr. Jedna tylko gałąź liczyć się tutaj może słusznie do proletaryatu, a tymi są sędziowie pokoju. Prawie wszyscy oni są licencytami albo doktorami prawa, a pobierają od 1,800 do 3,000 fr. ztąd ich wegetacya między mieszczaństwem a ludem — wegetacya nędzna, zupełnie nie odpowiednia do godności zajmowanego stanowiska.

Nauczyciele pod względem pochodzenia zaliczeni być winni do ludu i drobnego mieszczaństwa w pewnej części, to znaczy, że funduszów osobistych nie miewają prawie nigdy, a wykształcenie niższe i średnie zawdzięczają kursom lycealnym. Zapytacie, jak bytują w uniwersytetach? Odpowiemy na to przykładami z naszego własnego życia, na które patrzymy codziennie, a jeśli idzie o to, co im daje sam uniwersytet po ukończeniu, to wystarczy kilka cyfr, które dajemy poniżej. Profesor kollegium ma płacy rocznej od 2 do 3,000 franków — profesor liceum od 3,500 do 5,000. To tak niby nie wiele lepiej jak u nas, a zważywszy drożyznę życia paryzkiego, może trochę gorzej nawet. Oprócz nich są jeszcze repetytorowie zarówno w lyceach jak w kolegiach, pobierający od 2 do 3,000 franków. Do tej ostatniej cyfry dochodzą oni w wieku około 41 lat, podczas gdy profesorowie rzeczywiści zaledwie w 56 roku życia osiągają te swoje 3,000 fr. płacy. Idzie jeszcze o to, że ten profesor ze swojemi 20 godzinami lekcyi tygodniowo i z obowiązkowem poprawianiem ćwiczeń, daleko bardziej jest przeciążony pracą, jak tamten swojemi dyżurami spacerów i sypialni. Dlatego też 2 zaledwie na 7 repetytorów zgadza się, gdy mają stopień naukowy, zostawać profesorami rzeczywistymi. Jak widzimy, niema przy tych płacach widoków założenia rodziny, i ci, którzy się hazardują aż do wejścia w związki małżeńskie, zaliczeni być mogą do jednej z najsmutniejszej kategoryi proletaryatu naukowego.

Typowe bractwo nędzy to sfera nauczycieli elementarnych. Na 150,000 osób płci obojej, które je składają, 100,000 przynajmniej cierpi brak bezwarunkowy. Płace adjunktów i adjunktek wahają się między 1,000 a 1,500 fr.; nauczycieli i nauczycielek właściwych od 1,800 do 2,400 fr., ale cóż kiedy ci znowu wszyscy są żonaci, a te wszystkie prawie zamężne. Pomimo to konkurencya do zdobycia tego smutnego nawet stanowiska jest, jak mówi Berenger, wprost przerażająca. Na 150 miejsc wakujących w Paryżu było w ostatnim roku 15,000 kandydatów i kandydatek, czyli 100 literalnie na 1 stanowisko. Co robią ci wyczekujący i te wyczekujące?—zapytacie czytelnicy. Nie żądajcie odpowiedzi od Berengera, bo odpowiedź jego jest istotnie obezwładniającą. Zważywszy wysokość aspiracyj ogólno-ludzkich przy wyborze tego powołania, i poziom upadków, gdy to powołanie nie dopisuje, zwątpić istotnie chyba przyjdzie o godności człowieka.

Proletaryat inżenieryi przebierzemy krótko. Dość powiedzieć że szkoła politechniczna daje rocznie 1,800 kandydatów do posad, a tych posad jest 250 tylko, reszta tonie w przemyśle prywatnym i jeśli nie robi tak zwanej karyery małżeńskiej, bytuje bardzo mizernie. Szkoła centralna wystawia 200 inżynierów rocznie, szkoły w Lille, Marsylii i Lyonie razem około 350, szkoły sztuk i rzemiosł 250 do 280, w summie 800—900 inżynierów na rok. Dyrekcya dróg i mostów zabiera część tego kontyngensu, kompanie dróg żelaznych także pewną liczbę, reszta ma ucieczkę do przemysłu prywatnego, a tu płace są wprost niemożebne. Wielki dom Lebaudy np., płaci inżynierowi-chemikowi 1,200 franków rocznie, a wogóle średnia płaca inżyniera w przemyśle prywatnym wynosi od 2,000 do 4,000 fr. to znaczy mniej aniżeli tak zwanego robotnika wyborowego.

Niechajże przekonają się z tego ci, którzy wszędzie i zawsze radzi są widzieć wyzysk ludzi zostających na najniższych szczeblach hierarchii—niechajże się przekonają, kto w dzisiejszych czasach uważanym być właściwie powinien jako ofiara położenia ekonomicznego.

Proletaryat wojskowy, polityczny i ten drugi, który Berenger nazywa proletaryatem wielkich administracyi, pominiemy tutaj, bo zawody te zblizka nas nie obchodzą, natomiast w przyszłym numerze zajrzymy jeszcze do kilku nor tej posępnej otchłani społecznej.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Dobroczynność.

W przytułkach dla starców i kalek Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności znajduje się obecnie osób 633 – w tem 502 kobiet i 131 mężczyzn. Jako miejsce wzniesienia nowych budowli dla pomieszczenia na przyszłość tego oddziału, proponują Pragę, a wedle tego co donoszą pisma codzienne, p. Gustaw Granzow, posiadacz gruntów położonych przy stacyi dr. żel. Warsz-Petersburskiej Wołomin, złożył deklaracyę ofiarowania Towarzystwu 100,000 łokci kwadratowych przestrzeni w odległości ¼ wiorsty od stacyi, pod warunkiem wzniesienia na niej odpowiednich budowli. Zarząd Towarzystwa wyznaczył delegacyę dla obejrzenia gruntu i rozpatrzenia warunków darowizny, a ewentualnie porozumienia się bliższego z ofiarodawcą.

Nowy zarząd Towarzystwa Dobroczynności zamierza zmienić sposób dotychczasowego zbierania składek po domach. Dotąd zyskiwała tą drogą instytucya około 4,000 rs. rocznie, a zarząd żywi nadzieję, że dzięki zmienionej manipulacyi można będzie osiągnąć summę o wiele wyższą.

Jak donosi „Kuryer Codzienny" prezes zarządu zakładów przemysłowych Żyrardowskich p. Karol Dietrich złożył 500,000 rs. *) jako fundusz wieczysty w celu zabezpieczenia ochrony dla dzieci robotników fabryk w Żyrardowie. Jedyna w swoim rodzaju ochrona w tutejszym okręgu fabrycznym ma tym sposobem być zabezpieczony.

Wydział lekarski przy Warszawskiem Towarzystwie Dobroczynności opracowuje obecnie projekt bezpłatnej porady lekarskiej dla chorych przychodzących. Ambulatoryum to ma być otwartem dla najbiedniejszych jeszcze w roku bieżącym.

Osobiste.

W dniu 10 b. m. uczniowie profesora Struvego udali się do domu jego, aby złożyć życzenia z powodu 35 letniej rocznicy profesorskiej działalności szanownego uczonego. Dr. Henryk Struve urodził się w r. 1840 w Gąsiorowie, w gub. Kaliskiej. Gimnazyum piotrkowskie ukończył w r. 1858, poczem udał się za granicę na studya uniwersyteckie, które odbywał w Tübindze, Heidelbergu, Erlangen, Getyndze, Halli, Lipsku i Jenie. Stopień d-ra filozofii otrzymał za rozprawę na tezę: „Zur enstehung der Seele," poczem w r. 1863 d. 9 Lutego mianowany został adjunktem do wykładu logiki w b. Szkole głównej Warszawskiej, a wkrótce nadzwyczajnym profesorem filozofii. Pamiętniejsze daty dotyczące działalności naukowej dr. Struvego są: w roku 1873 mianowany został członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie, a w r. 1897 zatwierdzonym na stanowisku dziekana fakultetu filologiczno-historycznego w Warszawie. Wedle informacyi podanej przez „Słowo," napisał profesor Struve przeszło 25 prac z zakresu filozofii ogólnej—z zakresu psychologii 17—estetyki 15—kwestyi społecznych 6—historyi filozofii 18—krytyki 65 — podróży i opisów miejscowości 6—różnych 15. Najwybitniejsze miejsce w literaturze filozoficznej zajęły dzieła: Logika — Synteza dwóch światów (1876) — Wstęp do filozofii — Estetyka barw (1886) — Sztuka i piękno (1892). Z przygotowanych do druku prac wymieniają: Dwa dalsze tomy Logiki, a nadto wielce cenne materyały do Encyklopedyi Szkół i Nauk filozoficznych, tudzież „Historyi filozofii i logiki w Polsce."

*) Czy niema czasem pomyłki w cyfrze? (*Przyp. Red.*)

Setna rocznica. „Kuryer Warszawski" przypomina, że w dniu 23 Listopada r. b. przypada setna rocznica urodzin Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, autorki „Pamiątki po dobrej matce" i innych prac cenionych wysoko w swoim czasie, z których rzecz taka jak Pamiętnik Franciszki Krasińskiej, dziś jeszcze uważa się za utwór nieposlednîej wartości, jako przyczynek do charakterystyki epoki.

Do upowszechnienia.

Jakkolwiek *memento* nasze przypadnie trochę późno, bo zaledwie na kilka dni przed zamknięciem karnawałowego sezonu, z uwagi jednakże, że te właśnie dni kilka najwięcej może ostrzeżeń wymagają, nie wahamy się powtórzyć przykrej wiadomości, którą podaje „Wiek" w 31 numerze swoim. Jest tam mowa o zapadnięciu na ciężką zapalną chorobę 19-letniej młodej osoby, u której zawezwani lekarze skonstatowali zapalenie osierdzia i odnieśli jego przyczynę do wysiłku karnawałowego. Był też to podobno, wedle tego co mówi „Wiek" wysiłek niezwyczajny. Nieszczęśliwa młoda osoba cztery noce z jednorazową tylko przerwą pracowała na swoje dzisiejsze cierpienia, a czy ostatecznie zakończy się to pomyślnie, a nadewszystko czy zakończy bez następstw dla młodego organizmu, o tem dzisiaj jeszcze nic mówić oczywiście nie można. Wogóle trudno jest na trzeźwo zrozumieć szału karnawałowego, który ogarnia massy, ale przypuściwszy istnienie tego rodzaju sprężyn, które popychają ludzi do zapominania się w pewnej porze roku, zapytamy w każdym razie, jakim sposobem ten—specyalnie, sezon mógł natchnąć tak wesolutko i tak ochoczo kogokolwiek z młodych, a myślących ludzi. To jest bardzo, bardzo dziwne.

Pisma codzienne podają wiadomość o pewnej spektatorce teatru Wielkiego, która nazajutrz po bytności w teatrze, uległa zakaźnemu zapaleniu oczu, odniesionemu przez lekarza specyalistę do użycia perspektywy miejscowej jako rozsadnika zarazy. Przynajmniej jakieś skrupulatne oczyszczenie przed użyciem szkieł obcych byłoby konieczne.

Konkurs.

Redakcya krakowskiego „Życia" donosi „Kuryerowi Warszawskiemu" o rozstrzygnięciu konkursu ogłoszonego przez nią na sonet. Nagrodzonym został utwór poetycki pana Kazimierza Tetmajera z cyklu „Gwiazdy." Oprócz niego uznanymi zostały za godne bezwzględnie wyróżnienia i doskonałe pod względem treści i formy sonety: Or-Ota, Stanisława Pieńkowskiego, Wacława Wolskiego, Maryana Zbrowskiego i Bolesława Leśmiana. Nadto zalecono do druku piękne sonety: Władysława Sterlinga, Jerzego Żuławskiego, Bronisława Grabowskiego, M. Mickiewiczowej, Al. Świerka, Władysława Nawrockiego, Anny Limprechtówny, Orwida, Jana Góreckiego, Ludwika Wilczyńskiego, Stanisława Bergera i W. Wolskiego. Ogółem odznaczono siedemnastu postów i 24 ich utworów.

Informacye.

Na zasadzie okólnika Departamentu Lekarskiego podaje do wiadomości publicznej gazeta policyjna, że preparaty zagraniczne: *Tuberculose Heilserum* i *Tuberculina* dr. Kocha mogą być sprowadzane do naszych aptek, ale wydawanie ich potrzebującym, może mieć miejsce jedynie za receptą lekarzy, a nadto preparat winien mieścić się w opakowaniu oryginalnem i nosić datę wskazującą jego przygotowanie.

Departament dróg żelaznych podaje do wiadomości, że osoby pokąsane przez podejrzane o wściekliznę zwierzęta mogą korzystać z ulg taryfowych. W takich częściach państwa, gdzie nie istnieją ziemstwa, na mocy świadectw władzy powiatowej otrzymywać będą chorzy na kolejach bilety po zniżonej cenie do miejscowości, w których funkcyonują stacye bakteryologiczne. W zastosowaniu do nas, wiadomość ta jest pożądana niesłychanie, idzie tylko o to, jak słusznie zwraca uwagę „Kuryer Codzienny," aby koleje poprzestawały na zaświadczeniach wójtów gmin, gdyż szukanie urzędów powiatowych grozi zwłoką, a zwłoka często udaremnieniem kuracyi. W każdym razie wiadomość winna być upowszechnianą jak najszerzej, a może być że i ta poprawka co do kwalifikacyi da się rychło przeprowadzić.

Sprawy miejskie.

Wedle doniesień pism codziennych dorożkarze warszawscy mieli wystąpić z projektem zmiany w taksie dotychczasowej, i zaproponowali taksę opartą na słuszniejszych niż dotąd podstawach. Idzie im mianowicie o to, aby tak znacznie rozszerzona dzisiaj Warszawa podzieloną została na okręgi, i aby stosownie do tych okręgów oznaczoną została cena za kurs. Za kurs w jednym okręgu żądają oni 15 kop. — w dwóch 20 kop. — w trzech 25 kop. — w czterech 30 kop. W każdym razie słuszności wystąpieniu temu odmówić niepodobna.

Wskazówki i rady.

Ciastka kruche niby francuzkie.

Jeden funt masła świeżego, filiżanka kwaśnej śmietany, półtora funta mąki, trochę skórki cytrynowej lub pomarańczowej, albo trochę wanilii, zagnieść w chłodnem miejscu, porobić ciastka, posmarować jajkiem, posypać cukrem z migdałami i w piecu gorącym upiec.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na P. A. Most. Klisze mód i wzorów odbieramy z zagranicy gotowe, i dlatego nic w nich zmienić nie możemy.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i dla prenumeratorów na prowincyi katalog wydawnictw Plato v. Reussnera.

Przedmioty Gospodarstw Domowego
Jerozolimskaa 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—50-11

MAGAZYN BŁAWATNY
J. GRUCZYŃSKIEGO I SKI
Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

Na sezon karnawałowy poleca:

Wielki wybór Wełn jasnych, Muślinów, Tiuli i Jedwabi, od skromnych do najstrojniejszych Adamaszków. „Gaze Liberty" na suknie plisowane.

593-30-28

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ROBERT WILCZYŃSKI
810—50—2 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-9

Magazyn Sukien Damskich
J. Kochańskiej
Hoża Nr 8. 811-6-2

wszelkie obstalunki wykonywa podług najnowszych żurnali.
Ceny umiarkowane.

Nowi prenumeratorzy
„KURYERA CODZIENNEGO"
otrzymają bezpłatnie początek drukującej się powieści Emmy Jeleńskiej **„Panienka"** i początkowe arkusze romansu Gyp'a **„Baron Sinai"**; po opłaceniu kwartalnej prenumeraty otrzymają jako premium 1-szy tom ***Poezyj Mickiewicza***, a po opłaceniu całorocznej prenumeraty cztery tomy ***Poezyj Mickiewicza*** bezpłatnie.
Cena miesięcznie kop. **50**, z przesyłką pocztową kop. **75.** Krakowskie-Przedmieście № 17. 807—8—3

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno-Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-2

Są do nabycia w księgarniach podręczniki naukowe pedagoga **Reussnera** p. t.

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela,** z objaśnieniem **wymowy** i z **Kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek" **Polsko-Niemiecki,** kurs wstępny **(Elementarz)** po kop. 10, 20, 35; — kurs I-szy kop. 60,—kurs II-gi kop. 1.60, — komplet (oba kursy) kop. 2.00; **Rusko-Niemiecki Samouczek** po kop. 10, 20, 35 i 2.70.

„Samouczek" **Polsko-Francuski,** kurs I-y 13 zeszytów, kurs II-gi 24 zesz. Gramatyka Polsko-Francuska 10 zesz. po 15 kop. (pocztą 18 k.); na zaliczkę wysyła się tylko **20, 10** lub przynajmniej **6** zeszytów.

Kurs I-y z drugiej edycyi w całym tomie kosztuje rs. 1 k. 20 (pocztą rs. 1 k. 55) Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka" Francuskiego** wprost **od autora,** otrzyma jako **bezpłatne premium** dzieło wartości rs. 1 k. 20.

„Samouczek" **Polsko-Angielski** kurs 1-szy kop. 75,— kurs II-gi kop. 1.20, komplet kop. 1.70.

„Samouczek" **Polsko-Ruski** z wymową i akcentowaniem wychodzi zeszytami po 10 kop. (pocztą 13 kop.)

„Samouczek" Francuski i Ruski został opracowany i wydany tylko wskutek usilnego domagania się Szan. Publiczności i pp. Pedagogów.

Amerykański Przewodnik z rozmówkami angielskiemi, wydanie II-ie znacznie powiększone, 50 kop.

„Samouki *Wielcy ludzie"*, t. j. 33 życiorysy najsławniejszych ludzi z 16 rycinami, 80 kop., w oprawie rs. 1 k. 50.

Petöfi Aleksander, król poetów węgierskich, wieszcz nieśmiertelny, bożyszcze narodu madziarskiego, poeta nad poetami. Kop. 70, opr. rs. 1 k. 20.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 4, 15, i 25 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 20 kop. do każdego rubla. — Skład u autora **(Reussnera),** Złota 6, Warszawa. 706—11-3

Fabryka Kwiatów sztucznych
Wróblewskiej
Marszałkowska 140, m. 5,
poleca piękne wyroby, tak balowe, jako też i kapeluszowe, po cenach bardzo przystępnych. 808—13—2

LECZNICA
Marszałkowska № 94,
róg Nowogrodzkiej (gdzie apteka W-go Barcza).
Porady we wszystkich specyalnościach dla przychodzących chorych od g. 9 do 4 i od 7 do 8 p. p., codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt.
Cena kop. 30. 806—15-3

SAINT-LÉHON
Wino toniczne, odżywcze i wzmacniające, prawdziwe i jedyne wino dla rekonwalescentów. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych. 720-25-19

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
jedynie nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs**
Pudełko kop. 15, 30 i 50
768-0-11

Krucza 19, m. 21.
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
W. Bednarskiej,
Wykończanie sukien eleganckie, prędkie i tanie. 809—6—2

Do handlu Delikatesów
nadszedł transport
Kolmarów
Pasztetów Strasburgskich
oraz co dwa dni świeże
Homary,
Soles,
Turbot.
W. Rogulin i P. Kuryluk w Warszawie,
w Gościnnym Dworze. Telefon Nr. 729.
799-4-3
OSTRYGI,
Ananasy,
KAWIOR
Astrachański,
RYBY
świeże i wędzone
po cenach umiarkowanych.

PIERWSZA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
M-me MERCÈRE
Nowy-Świat № 20.
Kursa wyższe i niższe, teorytyczne i praktyczne, system oryg **Paryski,** zdejmowanie fasonów bez rysowania form, warunki b. przystępne, wykład w 4-ch językach, uczennice otrzymują **patenta z Cechu.** Pensyonarki korzystać mogą z fortepianu, konserwacyi francuskiej i niemieckiej. 781-6-5

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien
J. Królikowskiej
Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25-10

Składy Nici, Galanteryi i towarów Norymbergskich
ALOIZY LUDWIG
W WARSZAWIE.
Skład Główny ulica Senatorska Nr. 6. Filia Marszałkowska Nr. 119. 790-12-4

Nowootworzony Magazyn
8 3-13-4 Braci JACOBSOHN, *Długa 53*, poleca
KWIATY
sztuczne podług najświeższych francuskich modeli, pióra fantazyjne i strusie oraz ***wstążki jedwabne.***

Nowo-otworzony Magazyn Mód
L. ZIELIŃSKA
11. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-26

PRACOWNIA
Konfekcyj Damskich
Złota 25, mieszkania 6 (front).
Przyjmuje obstalunki oraz wykonywa gotowe fasony z własnych materyałów od 18 do 25 rs. 745-12-8

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—10

WYPOŻYCZALNIA (CZYTELNIA)
KSIĄŻEK
polskich i francuskich
przy Księgarni Sortymentowej i Składzie Nut **MAURYCEGO ORGELBRANDA, M. Machwitz** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika.
Wysyła się i na prowincyę. 748—25-14

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej hafciarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-7
Miodowa Nr. 1.
miesz. 17, 2 brama 1 piętro

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI
M. TENCERA
WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50 32

Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Февраля 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

Jadali teraz bardzo często razem, ilekroć nie był przykuty do swego pokoju. Był w tem dla obojga czar jakiś niezwykły. Zdawało im się zawsze, iż są już na wspólnem gospodarstwie.

— Zrób tak, Suntarello — rzekło dzisiaj dziewczę. — Szkoda by było nie użyć tego ciepła i tej woni.

Pomogła staruszce wynieść mały stolik i usiadła przy boku młodzieńca. Suntarella postawiła przed nimi proste ich potrawy, wino i wodę, i odeszła. Ani on, ani ona nie jedli, rozmawiali cicho i słodko o rzeczach obojętnych; wszystko, co czuli, wszystko, co jedno drugiemu w duszę tchnąć pragnęło, całe głębie ich tkliwości wzajemnej wybrzmiewały tylko w drganiu ich głosów, wybłyskały tylko w promienieniu ich oczów; słowa, które wymawiali były bez znaczenia, i nawet nie zdawali z nich sobie sprawy. Pomieszali trochę wina z wodą i pili z jednej szklanki; potem podzielili się paru kawałkami chleba. Była to prawdziwa agape.

Suntarella zgromiła ich surowo, spostrzegłszy, że nie jedli, i że trzeba było zabrać z powrotem wszystko, co była przyniosła. Za drzwiami wszakże jęła ocierać sobie oczy.

Jan Marya i Caterina zostali jeszcze na tarasie w słodkiem, cichem, pogodnem rozmarzeniu, było im tam, jakby siedzieli na dnie tych głębokich blasków słonecznych, na dnie oceanu światłości. Po dłuższej chwili przerwało im ten spokój gwałtowne wejście Suntarelli.

— Contessino — wołała staruszka już z pokoju, zanim jeszcze zdołała dobiedz na taras. — Masz odwiedziny! Donna Paolina jedzie.

Oboje młodzi ludzie podnieśli się niemile dotknięci i stali chwilę w niepewności.

— Pójdę do siebie — rzekł Jan Marya — spotkać się z kimś obcym, tutaj...

Czuł niemiłe zakłopotanie,

— Odchodzić już zapóźno, jeżeli nie chcesz pan się z nią spotkać — rzekła Suntarella — musi być już na schodach; nie spostrzegłam powozu, aż gdy stanął przed domem.

— Zostań na tarasie — rzekła Caterina — siądę z nią w salonie, a potem poprowadzę ją do ogrodu. Gdyby wyszła na taras, poznajomię was, ale wątpię, by jej to do głowy przyszło. Po przejażdżce chętniej w chłodnym zostanie pokoju.

— Tak będzie najlepiej—rzekł Jan Marya.

— Możesz przysłuchać się naszej rozmowie, donna Paolina jest zajmująca — rzekła Caterina — zostawię drzwi otwarte — i weszła do salonu.

— Nie, zamknij je lepiej — odparł młodzieniec.

— Caterina wszakże nie usłyszała go już, podobnie jak Suntarella, obie były już w pokoju, a gdy powstał sam, aby zamknąć, było zapóźno, słyszał już głos donny Paoliny, przyjemny, pełny; słyszał, jak się z Cateriną witała, jak potem łaskawie pytała Suntarellę o zdrowie.

— Dziękuję, pani markizo — odpowiedziała staruszka sucho, i usłyszał, jak wychodziła z salonu i drzwi za sobą zamykała.

Panie usiadły. Jan Marya widział donnę Paolinę w zwierciedle, wiszącem nad kominkiem naprzeciwko otwartych drzwi na taras. Była piękna, acz już nie młoda, wielka pani w każdym ruchu, a prawa Rzymianka w dumnem trzymaniu głowy i ciała. Prosty, ciemny jej strój mówił wyraźnie o paryzkiem swem pochodzeniu.

— Jesteś bardzo łaskawa, ciotko, żeś przyjechała — rzekła Caterina.— Czem orzeźwiającem służyć ci mogę..

— Oto wszystko, czego potrzebuję — odparła donna Paolina, nalewając sobie wody do szklanki stojącej na stole.—Wiesz, *Caterina mia dolcissima*, że blada jesteś i masz zapadłe policzki? O, moja droga, wiem o wszystkiem, i dłużej to trwać nie może!

— O czem wiesz, ciotko? — spytało dziewczę, zarumieniwszy się lekko i spuszczając oczy poniekąd.

— O tym cudzoziemcu, który w domu twoim tak ciężko chorował. Pani Galli wie wszystko od syna, a ja od niej. Tylko że pani Galli—nie chcę rzec, iż więcej powiada, niż wie, ale mogę twierdzić, iż uwydatnia o wiele więcej nad to, co jej syn opowiada. Luigi jest dyskretny, chmurzy się zaraz, gdy spostrzeże, iż czegoś dowiedziećbym się chciała; matka jego nie jest tak delikatna. Wiesz, czego domyśla się pani Galli? acz, jak ci mówię, nie powiedziała mi tego otwarcie. Oto, że nie chrześciańska to jedynie miłość przywiązuje cię do twego chorego, ale i... no, zgadnij, co? Zgadnij! Ach, czerwienisz się, odgadłaś więc. Prawda zresztą, że zagadka nie była trudna

Donna Paolina śmiała się, Caterina milczała. Janowi Maryi żal jej było. Cóż powinien był teraz uczynić? Nic. Musiał siedzieć cicho.

— No, ale dajmy temu pokój - rzekła donna Paolina.—Nie będę ci przecież wyrzucała tej trochy romantycznych marzeń? Tego nikt uniknąć nie może. Jest to jak owe choroby dziecinne, które każdy przejść musi. Dajmy temu pokój. Przyjechałam w sprawie ważnej, chodzi nie o puste plotki, lecz o coś zupełnie innego. Pisałam do ciebie, zapraszałam cię, nie odwiedziłaś nas, nie odpowiedziałaś mi nawet.

Pogroziła jej palcem z uśmiechem.

— Wybacz mi, ciotko—prosiło dziewczę.

Donna Paolina nie była właściwie jej ciotką, ale ponieważ stopień ich pokrewieństwa trudno było ściśle oznaczyć, oznaczyła go w ten sposób donna Paolina samowładnie i samowolnie.

— Daję ci zupełną absolucyę — rzekła tonem żartobliwym. — A teraz do naszej sprawy. Nie mogę u ciebie długo się zatrzymać; teraz druga, a jadę na five o'clock do księżny Torlonia. Pojedziesz ze mną zaraz do Rzymu, czy też mam ci dać jeszcze jakie kilka dni do namysłu?

— Czyż sprawy twoje, ciotko, wymagają takiego pośpiechu?—spytało dziewczę ze zdziwieniem.

— Sprawy moje ostatecznie takiego pośpiechu wymagają, ale pomówimy o nich później. Chodzi tymczasem o to tylko, abyś się wogóle do Rzymu pojechać zdecydowała. Albo więc jedź ze mną zaraz, albo przyjedź trochę później, ale oznacz stanowczo dzień. Żadnych wątpliwych obietnic. Najlepiej byłoby jednak, abyś pojechała zaraz.

— Jesteś, ciotko, bardzo łaskawa — wyrzekło dziewczę cicho po małej pauzie, dodało wszakże zaraz, równie cicho, lecz nader stanowczo:—Nie pojadę, daruj mi.

Donna Paolina rzuciła się nieco niecierpliwie.

— Co za upór!—zawołała.—I czemu nie pojedziesz?

Caterina nie odpowiedziała na to.

— Sprawa twoja, ciotko Paolino — rzekła tylko — dotyczy zapewne owego miejsca nauczycielki, które kiedyś mi proponowałaś? Zapewne projekt ów urzeczywistnił się już, i przyszedł tedy czas, abym się zdecydowała? Otóż, myślę, że nie jestem do tego zdolna. Myślę, jednem słowem, że tymczasem winnam ci tylko podziękować za twoją pamięć i pieczę, ale zdecydować się na to nie mogę.

— Caterino - rzekła donna Paolina—wiesz, jak źle stoisz z tym swoim nieszczęsnym, jak dłoń maluchnym folwarczkiem? Nie utrzymasz się przy San Cataldo.

— Wiem — odrzekła Caterina spokojnie. — Jest mi to teraz zupełnie obojętne — dodała mimowolnie po chwili, zatopiona w myślach.

— To dziwna—zauważyła donna Paolina.— Nie chcę pytać o przyczyny — ciągnęła dalej.—Wiedz wszakże, iż nie chodzi bynajmniej o owo miejsce. Była to z mej strony myśl nierozsądna, tak—przykra nawet. Zrobić nauczycielkę z panny di Soranesi! Był to paroksyzm liberalizmu, manii emancypacyjnej... Było to w powietrzu.. Ach, miałaś powód gniewać się na mnie. Ale nie gniewałaś się?

— Nie miałam powodów do gniewu, miałam je tylko do wdzięczności — rzekła Caterina.

— Miło mi, że uznajesz, iż cię kocham — odpowiedziała donna Paolina - a jeżeli czułaś wdzięczność za taką drobnostkę, o ileż większą uczujesz, gdy się dowiesz, o co chodzi. Postanowiliśmy z mężem zabezpieczyć ci szczęście, zgotować ci świetną przyszłość.

Donna Paolina umilkła i spojrzała na dziewczę, chcąc w pełni rozkoszować się nagrodą za wspaniałomyślność swoją; ale na twarzy Cateriny pojawił się jedynie smętny, więcej—bolesny uśmiech. Szczęście! Przyszłość! Czyliż coś takiego istniało dla niej na świecie? Jej szczęście chyliło się w grób, w grób padała cała jej przyszłość. Opamiętała się z zamyślenia, widziała, że donna Paolina czekała na odpowiedź.

— Nie rozumiem cię, ciotko—rzekła cicho i nie pojmowała istotnie, co mianowicie donna Paolina zamyśla.

— Nie zgadłabyś, ale pojmiesz wnet, skoro tylko leciuchną dam ci wskazówkę — rzekła donna Paolina. — Caterino, przyjmować dobrodziejstwa, nie jest podobno rzeczą miłą. Tak twierdzą ludzie dumni. Ty jesteś także może nieco dumna, będzie ci przeto przyjemnem dowiedzieć się, że ja i mój mąż nie chcemy żadnego okazywać ci dobrodziejstwa. Przeciwnie, oczekujemy, że nie odmówisz nam pewnej przysługi. Przysługi tylko—nie ofiary, moja droga.

— Cóżbym ja mogła dla was uczynić? — zadziwiła się Caterina. Tak, radabym zadośćuczynić waszym pragnieniom.

— A więc słuchaj. Powiem ci to krótko. Wyszukaliśmy ci narzeczonego.

Caterina zbladła lekko.—Oh!..—rzekła słabo, podnosząc ręce, jakby się bronić chciała. Donna Paolina uśmiechnęła się.

Jan Marya ledwie oddychał. Co czuł, nie wiedział sam, ale serce biło mu tak, że je słyszał.

— Nie bój się, droga Caterino, nie żądamy, byś nas ślepo słuchała—jęła dalej mówić donna Paolina. — Zobaczysz go, poznasz się z nim, a wtedy jestem pewna, że wszystko ułoży się samo przez się. Jest bardzo miły, młody, piękny, i będzie bogaty. Brak mu tylko jednego — nie ma nazwiska, ale to mu dasz ty, i w ten sposób nie będziesz mu nic winna za bogactwo, które przez małżeństwo posiędziesz.

Caterina milczała. Donna Paolina czekała długo na odpowiedź, a gdy ta nie przyszła, zaczęła mówić znowu.

— To świadectwo—zaśmiała się—muszę ci dać, że nie jesteś ciekawa. Nawet mnie nie zapytasz, kto to jest, dla czego ci go proponuję, i jaki zamiar nas, mnie i męża, do tego wszystkiego skłania. Jesteś jak posąg. Czy śpisz? Obudźże się nakoniec.

I żartobliwie wstrząsała nią. Caterina wyglądała istotnie jakby ze snu zbudzona.

— Jeżeli mam powiedzieć szczerą prawdę—rzekła wreszcie — wyznam ci ciotko, że nic a nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Gdybyś była do mnie po arabsku mówiła wiedziałabym tyleż co teraz.

— Widzę—odpowiedziała donna Paolina—że będzie najlepiej, jeśli ci powiem wszystko szczegółowo i zupełnie wyraźnie. Posłuchaj tedy, ale, proszę cię, z uwagą, abym po dwakroć powtarzać nie musiała. Wiesz, że nie mam dzieci i że mąż mój jest ostatnim markizem Valmarina. Majętności więc jego i tytuł przejdą kiedyś na barona Valmarina, głowę bocznej gałęzi tego niegdyś tak wielkiego i sławnego rodu. To wszystko wiesz, ale nie wiesz może, acz się z tem nie taimy, że ani ja, ani markiz nikogo na świecie tak nienawidzimy, jak tego właśnie barona, który z dyabelskim wprost uśmiechem tak troskliwie się zawsze o nasze wypytuje zdrowie. Większa część naszych majętności wpadnie mu w ręce niepowrotnie, ale niektóre z nich i całe pozostałe znaczne bogactwo markiza możnaby jeszcze wyrwać temu grabieżczemu, niecierpliwemu spadkobiercy. Zechciej skupić teraz całą uwagę, abyś dobrze pojęła, o co chodzi, moja ty słodka duszyczko. Wiedz, że markiz ma syna naturalnego; kochał się kiedyś w jakiejś aktorce, która dawno umarła, jeszcze zanim ja go poznałam. Nie jestem tedy o nią zazdrosna, a istnienie tego syna nie było mi przed mym ślubem tajemnicą. Markiz dał mu świetne wychowanie, i młodzieniec ten jest teraz jednym z najpiękniejszych, najbardziej eleganckich oficerów armii, ze świetną w przyszłości karyerą.

Donna Paolina umilkła na chwilę, spodziewała się, że Caterina przemówi. Ale dziewczę milczało.

— Adoptować go—ciągnęła dalej donna Paolina po krótkiej pauzie — i zrobić go legalnym dziedzicem nazwiska i majętności, jak to sama zaproponowałam, podobno niemożna, mogłoby to jak się zdaje doprowadzić do nieskończonych procesów i ostatecznie baron mógłby wygrać. Będzie tedy lepiej zabezpieczyć miłemu naszemu wychowankowi możebną przynajmniej część dziedzictwa, bardzo znaczną, i odebrać ją w ten sposób baronowi. Pozostaje tylko jeszcze jedno: dać mu piękne nazwisko. Teraz pojmujesz snadź nareszcie?

— Nie—rzekła Caterina krótko i otwarcie.

— Ach — żachnęła się niecierpliwie donna Paolina — to jest wprost nieprawdopodobne! A więc objaśnię ci to: jesteś ostatnią z Soranesich; jeżeli pojmiesz go za małżonka (pomnij, że obdarzonego połową całego majątku markizów Valmarina), nie trudno będzie wyrobić, aby nazwisko twe przeszło na niego. Będziesz hrabiną Soranesi-Cremona (młodzieniec ten tak się teraz nazywa) i zajmiesz w towarzystwie miejsce należne ci z nazwiska, które odziedziczyłaś, bez jednego, niestety, bajoka, po przodkach swoich. Teraz rozumiesz?

Caterina zarumieniła się i wyprostowała poniekąd.

— Donno Paolino — rzekła, walcząc z niechęcią, która ją ogarniała—odziedziczyłam po przodkach nazwisko swe bez bajoka, jak mówisz. Prawda, za to wszakże odziedziczyłam razem z nim prawe pojęcie o honorze, tak, iż wiem, że nazwiskiem tem kupczyć mi nie wolno.

Donna Paolina obraziła się, ale zachowała krew zimną.

— Wyrzucasz mi tedy, że proponuje ci coś niehonorowego? Tegom się nie spodziewała.

— Daruj, ciotko — rzekła Caterina żywo — nie chciałam cię urazić, powiedziałam tylko, co czuję.

— W ten sposób powtarzasz swą obrazę!— zawołała markiza, nie panując już nad gniewem. — Wypowiedz lepiej wprost, co przeciwko mnie masz na sercu.

— Ciotko Paulino — rzekło dziewczę, spokojnie wprawdzie, ale napróżno starając się uciszyć urażoną swą dumę—wypowiem tedy wprost, co mam ci do zarzucenia. Nie postąpiłaś dziś, wybacz, delikatnie. Byłaś dla mnie dotąd zawsze bardzo łaskawa, i mogłaś przeto właśnie mieć na względzie, że winna ci jestem wdzięczność. Tymczasem przychodzisz oto dzisiaj i robisz wrażenie, jak gdybyś żądała, bym dług swój zapłaciła. A jednak nie mogę wierzyć, byś to tak pojmowała w istocie.

Markiza zmieszała się poniekąd; prostota i godność dziewczęcia uderzyły ją.

— Może zbłądziłam, mówiąc ci o tem wszystkiem tak otwarcie—rzekła po chwili.—Markiz miał słuszność. On chciał inaczej to urządzić. Poznajomimy ich, rzekł, i jeśli Caterina będzie dobrze dlań usposobiona, wyda jej się to, czego od niej żądamy, zupełnie prostem i naturalnem.

— Jestem wdzięczna markizowi—odpowiela Caterina—szczerze wdzięczna, bo dowiódł tem, że mnie zna i poważa. Miał słuszność, donno Paolino.

Donna Paolina uśmiechnęła się.

— Widzisz więc, nie wszystko stracone! — zawołała.—Wróćmy do projektu mego męża. Pojedziesz ze mną do Rzymu. Poznajomimy was, gołąbki...

— Nie, teraz to niemożliwe, skoroś już, ciotko, tak otwarcie mówiła — rzekła Caterina.

— No, no – śmiała się markiza—czyliżeś tak pewna, że pan Cremona nie zrobi na tobie wrażenia? Nie widziałam nigdy porucznika, któremu by w uniformie huzarskim bardziej było do twarzy. Co za dystynkcya w każdym jego ruchu, a głos, gdy śpiewa romanze, a oczy — ach, jednem słowem jest czarujący!

Caterina milczała.

— Kiedyż więc pojedziesz do Rzymu? Zaraz dziś —spytała markiza.

— Dziś nie — rzekła Caterina i spuściła oczy.

— Więc kiedy? Chcę odpowiedzi stanowczej—nalegała donna Paolina.

— Odpowiedzi stanowczej? — powtórzyło dziewczę z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc spuszczonych oczu.

Donna Paolina zaczęła tracić cierpliwość.

— Tak — rzekła — odpowiedzi stanowczej, a nie powtarzania, jak echo mych pytań!

— Tej stanowczej odpowiedzi dać nie mogę—odpowiedziało dziewczę cicho, wciąż jeszcze nie podnosząc oczu.

— Ach, ty się poprostu z panem Cremoną wogóle poznać nie chcesz—zawołała markiza, czerwieniąc się z gniewu.

— Nie, nie chcę, wiedz to ciotko, skoro mię zmuszasz — rzekła Caterina cicho i stanowczo.

— Skoro doprawdy jesteś tak szczera—zawołała markiza—zachowajże tę szczerość do końca i powiedz mi bez omawiań, dla czego. Ale nie zasłaniaj się żadnemi skrupułami swej delikatności, żadną czcią dla pamięci wszystkich hrabiów Soranesi od początku świata.

— Dobrze więc — rzekło dziewczę, powstając—niech i tak będzie.—Patrzyła donnie Paolinie prosto w oczy, bez nieśmiałości, bez rumieńca.—Powód jest bardzo prosty, kocham innego i do nikogo, prócz do niego, należeć nie mogę i nie chcę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)